Nr. 10. Sobota dnia 8-go marca 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę piątą Postu.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Żydów rozdział IX, wiersz 11—15.

Bracia! Chrystus stawiwszy się najwyższym kapłanem dóbr przyszłych przez większy i doskonalszy przybytek, nie ręką uczyniony, to jest nie tego stworzenia, ani przez krew kozłów, ani cielców, ale przez własną krew wszedł raz do świątnicy, znalazłszy wieczne odkupienie. Albowiem jeźli krew kozłów i wołów i popiół jałowicy pokropiony splugawionych poświęca ku oczyszczeniu ciała, jako daleko więcej krew Chrystusowa, który przez Ducha świętego samego siebie ofiarował niepokalanym Bogu, oczyści sumienie nasze od martwych uczynków ku służeniu Bogu żyjącemu? I dla tego jest nowego testamentu pośrednikiem, żeby za przystąpieniem śmierci na odkupienie występków tych, które były pierwszym testamentem, obietnicę wzięli, którzy wezwani są do odziedziczenia wiecznego żywota.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział VIII, wiersz 46—59.

W owym czasie rzekł Jezus do Żydów: Kto z was dowiedzie na Mnie grzechu? Jeśli prawdę mówię, czemu Mi nie wierzycie? Kto z Boga jest, słów Bożych słucha. Dlatego wy nie słuchacie, że nie jesteście z Boga. Odpowiedzieli tedy Żydzi i rzekli Mu: Izali my nie dobrze mówimy, żeś Ty jest Samarytanin i czarta masz w sobie? Odpowiedział Jezus: Ja czarta nie mam, ale czczę Ojca Mego, a wyście Mnie nie uczcili. A jać nie szukam chwały Swej, jest który szuka i sądzi. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeśli kto zachowa mowę Moję, śmierci nie oględa na wieki. Rzekli tedy Żydzi: Teraześmy poznali, że czarta masz. Abraham umarł i prorocy, a Ty powiadasz: Jeśliby kto strzegł mowy Mojej, nie skosztuje śmierci na wieki. Czyliż Ty jesteś większy nad ojca naszego Abrahama, który umarł i prorocy pomarli? Czym się sam czynisz? Odpowiedział Jezus: Jeśli się Ja Sam chwalę, chwała Moja nic nie jest. Jest Ojciec Mój, który Mnie uwielbia, o którym powiadacie, iż jest Bogiem waszym. Lecz wy nie poznaliście Go, ale Ja Go znam i jeślibym rzekł, że Go nie znam, byłbym podobnym wam kłamcą. Ale Go znam i mowy Jego strzegę. Abraham ojciec wasz, z radością żądał, aby oglądał dzień Mój i oglądał i weselił się. Rzekli tedy Żydzi do Niego: Pięćdziesiąt lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś? Rzekł im Jezus: Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: pierwej, niż Abraham się stał, Jam jest. Porwali tedy kamienie, aby nań ciskali, lecz Jezus ukrył się i wyszedł z kościoła.

NAUKA.

Pan Jezus krzyż ciężki dźwiga.

„Porwali tedy kamienie, aby nań ciskali, lecz Jezus ukrył się i wyszedł z kościoła“.

Serca Żydów kipią wyraźnie od nienawiści przeciw Jezusowi Panu. I za cóż? Oto, że głosił im słowo Boże, co daje żywot wieczny; że Ojciec niebieski uwielbiał Go w tych cudach, jakie czynił w każdym zakątku ich ziemi; że się Synem Bożym ogłaszał i Mesyaszem prawdziwym, mówiąc: pierwej niż Abraham się stał, Jam jest. A Żydzi, zamiast do nóg Mu upaść, porywają kamienie, aby nań ciskali. Lecz Jezus ukrył się i wyszedł z świątyni. Albowiem chciał inną śmiercią umierać, bo chciał umierać na krzyżu, aby nam pokazać, jak niezmiernie nas umiłował.

Jakoż Piłat, umywszy ręce swe przed całem pospólstwem, wydał Jezusa, aby był ukrzyżowan. Już oto dekret śmierci Jezusowi czytają. Pan Jezus w milczeniu go słucha, przyjmuje z ochotą. Mówił przecie przy ostatniej Wieczerzy: „chrztem mam być ochrzczon, a jako pragnę, aż się wykona.“ Jakże pragnę gorąco świat cały ochrzcić we krwi mojej i od grzechów uwolnić!

Tłumy nieprzejrzane motłochu i cała starszyzna żydowska słuchają też w milczeniu wyroku Jezusowej śmierci, potem naraz w piekielnej wołają radości: już buntownik ten zginie, już umrze ten bluźnierca, już on na śmierć skazany. Aż z nieba aniołowie powychylali głowy swe na to dzikie wołanie, a i dusze w otchłani poruszyły się z wielkiej miłości ku Jezusowi, że godzina wybawienia ich już bliska.

„Wtenczas Piłat podał Jezusa, aby był ukrzyżowan.“ Zaraz też biorą się oprawcy do robienia krzyża. Krzyż już gotowy, z dwu nieociosanych belek zrobiony. Już go u nóg Jezusowych składają. Pan Jezus spojrzał nań, ramiona swe wyciągnął ku niemu, a mówił: o drogi, od dawna mi ukochany krzyżu; dusza moja za tobą tak dawno tęskniła, tak dawno wyrywało się serce me ku tobie. Witajże mi, witaj! Za chwilę życie Me na tobie położę, na tobie moc piekła zwyciężę, światu niebo otworzę. I nachylił się ku niemu i objął go i ucałował i włożył na ramiona swoje.

Z krzyżem na ramionach, by jaki zbrodniarz, stoi Syn Boży, gotów do pochodu. A obok Niego dwóch łotrów. I spełniło się, co Prorok dawno o nim powiedział: „Z złoczyńcami policzony jest“ (Iz. 53, 12. Żydzi uczynili i to na większe pohańbienie Jezusa.

Wszystko już gotowe. Przyniesiono młot, gwoździe, wino zmieszane z żółcią, gąbkę — wszystko już gotowe. Cały więc pochód wyrusza z dziedzińca Piłatowego. I Pan Jezus z całą tą niezliczoną rzeszą wyrusza. — Dokądże zdążasz słod-

ki Zbawicielu mój? Patrzę, a jeno rany i krew widzę na Tobie, jeno cierniową koronę na głowie, jeno krzyż ciężki na Twoich ramionach. Dokądże idziesz, mój Jezu? — Na Kalwaryę, na tę górę hańby, tam umrzeć za ciebie człowiecze, za grzechy twoje życie tam położyć, aby ci niebo wysłużyć. — O Jezu, jakże ja za to wypłacę się Tobie? Wiem jak. Rany, krew Twoją zachowam w pamięci mojej i będę Cię miłował do śmierci.

„Wtenczas Piłat podał Jezusa, aby był ukrzyżowan.“ Po raz ostatni wychodzi już Pan Jezus z miasta Jeruzalem. Raz jeszcze ogląda się na nie, a mówi: „o gdybyś ty poznało, co jest ku pokojowi twojemu, ale teraz zakryto jest przed oczami twemi. Ile kroć chciałem cię zgromadzić jako kokosz gromadzi pisklęta pod skrzydła swoje, a nie chciałoś“ — nie chcesz i teraz. Przeto nie zostanie w tobie kamień na kamieniu. I tak się stało.

Straszna kara Boża spotkała to miasto za to, że z urąganiem i hańbą wyrzuciło Jezusa z pośród murów swoich. Ale to samo się każdemu przydarza, kto z duszy swej wyrzuca Jezusa. I tam w tej duszy kamienia na kamieniu nie szukać, nie szukać miłości Boga ani bliźniego — poszanowania dni świętych, posłuszeństwa dla rodziców, cnoty czystości ani jakiego sumienia tam już nie szukać. Samo tam jeno rumowisko grzechów. Biada człowiekowi takiemu, za życia i po śmierci biada!

„Wtenczas Piłat podał Jezusa, aby był ukrzyżowan.“ Patrz, jak idzie zwolna, jak każdy ślad swój znaczy krwią najświętszą, jak za każdym krokiem chwieje się pod ciężarem krzyża. Aż i na ziemię upada. — Nie krzyż jednak, ale grzechy nasze rzuciły Jezusem o ziemię. Jakież one ciężkie, te grzechy nasze, a ty je tak lekko popełniasz! Tego, który świat cały trzyma w rękach swoich, grzechy twoje o ziemię rzucają. Czy i teraz jeszcze tych grzechów twoich się nie przerazisz? twego pijaństwa, twego cudzołostwa, tych przekleństw twoich? Miejże miłosierdzie nad Panem Jezusem, a nie grzesz już więcej.

„Wtenczas Piłat podał Jezusa, aby był ukrzyżowan.“ Spojrzyj dokoła. Cała zgraja rozbestwionego motłochu aż się czerni w około Niego. Urągają Mu wszyscy. Ledwie niewiast kilka z Nim razem boleje, rzewnie płacze nad Nim, a Pan Jezus zwraca się do nich i mówi: „nie płaczcie nademną, ale nad synami waszymi“. Boleść ich więcej mu dokucza, niżeli własna, więc je słodko pociesza w ich smutku.

Ale i Marya ani na chwilę nie odstępuje Synaczka swojego. Choć cała tonie w boleściach, jednak za Jezusem idzie powtarzając sobie:

Obym ja matka strapiona
Mogła na swoje ramiona
Złożyć krzyż Twój, Synu mój.

Obok Maryi, z głową pochyloną ku ziemi, podąża Jan, ulubiony Jezusowy apostoł. I my się do nich przyłączmy, wraz z nimi chodźmy też za Panem Jezusem. Patrzmy, krzyż ciężki przygniata Go całego do ziemi, co chwila jeszcze o koronę cierniową potrąca. Ach, boleść Twoja wielka jak morze, Zbawicielu mój! A jednak krzyż ten dźwiga Pan Jezus z weselem, z rozkoszą go do siebie przytula.

A my w naszych krzyżach jakże się zachowujemy? A mamy ich dosyć na każdy dzień. Czy jednak sobie w nich nie przykrzymy? Czy w chorobie, w prześladowaniu, w ubóstwie nie narzekamy na siebie, na drugich? Mój przyjacielu, ile razy krzyż i ciebie przygniecie, weźmij go na swoje ramiona, stań obok Jezusa. Krzyż Jego z twoim porównaj. Cóż myślisz? który z nich cięższy? Nie narzekaj więc, bo krzyż twój czyni cię Jezusowi podobnym, do nieba cię prowadzi.

Z trudem, z mozołem niezmiernym, cały krwią i potem oblany wyszedł wreszcie Pan Jezus na górę: „I wyszedł na owo miejsce, które zowią trupiej głowy, a po hebrajsku Golgota.“ — To Kalwarya. Dotąd góra to hańby, odtąd jednak góra już chwały i uwielbienia dla wszystkich wieków, dla wszystkich pokoleń. Bo ją Pan Jezus uświęcił krwią swoją. Tu się i moje stało zbawienie. Klękam więc tu i każdy jej proszek całuję, a mówię sobie:

Niechżeć mój Jezu, cześć będzie w wieczności,
Za Twe obelgi, mękę zelżywości,
Któreś ochotnie Syn Boga jedyny
Cierpiał bez winy. Amen.

MACOCHA.

Pewnego właściciela ziemskiego w pobliżu miasta Pesztu spotkało nieszczęście, utracił bowiem żonę w chwili, gdy dała życie dziecinie. Pochowano ją i opłakano, a mały, ładny chłopczyna, jak pączek w rozkwicie, pozostał sierotą bez matki.

Wawrzyn Gathy — tak się ów właściciel nazywał — miał u siebie starą ciotkę; ta po pogrzebie stanąwszy nad kołyską, wylewała resztę łez gorzkich, które jej jeszcze pozostały, mówiąc przytem:

— Moja ty biedna mała sierotko, co się z tobą stanie? Bez macierzyńskiej opieki, przyjdzie ci marnie zginąć.

— Co się z nim stanie? — powtórzył ojciec drżącym głosem i dodał zarazem: wyrośnie na prawego i uczciwego człowieka. Nie lękaj się dziecino moja, będziesz miała matkę!

— Nie będzie to jednakże prawdziwa matka, mój drogi siostrzeńcze! Prawdziwa matka spoczywa w grobie, a ta, którą w dom swój wprowadzić zamyślasz, pozostanie zawsze tylko macochą, choćbyś jej złote wstążki wplatał we włosy!

— A ja ci mówię ciociu, że moje dziecko będzie miało prawdziwą matkę.

— Gdybyś posiadał moc wskrzeszania umarłych, wtenczas bym ci uwierzyła.

Gathy nic na to nie odpowiedział. W kilka dni po tej rozmowie zabrał dziecinę z sobą do Pesztu i zostawił ją tamże. A że był człowiekiem zamkniętym w sobie i poważnym, nikt nie śmiał go zapytać, gdzie umieścił syna, wzruszano tylko ramionami mówiąc: przygotowuje miejsce dla drugiej żony.

I rzeczywiście, zaledwo trzy tygodnie upłynęły, Wawrzyn Gathy pojął za małżonkę siostrę swego rządcy, Barbarę, najładniejszą niewiastę z całej okolicy, a w rok niespełna przybył do domu drugi synek.

Pani Gathy nie opuściła jeszcze swego pokoju, a mąż wyjechał znów do Pesztu, zabierając z sobą nowonarodzoną dziecinę, aby ją tam zostawić. Lu-

dzie kiwali z podziwieniem głowami, pytając: co to znaczy? zaledwo dał im Bóg dziecię, własny ojciec usuwa je z domu!

Podczas gdy świat ze zdumieniem nad tem się zastanawiał, w komnatach starego gmachu Gathych, rozlegały się przeraźliwe skargi i płacz gorzki. Młoda matka rozpaczała nad rozłączeniem się z dzieckiem, prosiła, błagała, groziła rozwodem i przeklinała okrutnego ojca.

— Oddaj mi moje dziecko! Co zrobiłeś z mojem dzieckiem? — wołała tonem rozdzierającym serce.

Atoli dziwny ten człowiek pozostał niewzruszony.

— Dziecko twoje jest pod dobrą opieką, mówił — zobaczysz je kiedyś z pewnością. Lecz dziś nie badaj mnie daremnie, i nie naprzykrzaj się prośbami, gdyż przeciw temu jestem silnie uzbrojony.

Tak upłynęło lat pięć, długich jak wieczność, pełnych męczarni dla kochającego serca matki.

Pani Barbara w tym czasie próbowała rozmaitych dróg i środków lecz nie doprowadziły one do celu. Okrutny ojciec pozostał niewzruszony. Jeździł wprawdzie często do Pesztu w odwiedziny do dzieci, lecz żony nie zabrał nigdy ze sobą, musiała się tylko zadowolić wiadomością, że chłopcy dobrze się miewają. Nadszedł wreszcie dzień, w którym Gathy powiedział swej żonie:

— Przygotuj się na wielką uroczystość, Barbaro, gdyż jutro wyjeżdżam do Pesztu i przywiozę ci chłopców.

Uszczęśliwiona matka rzuciła się z okrzykiem radości mężowi na szyję. Te kilka słów zatarły w jej sercu całą gorycz upłynionych lat pięciu. A jednakże jakiej to rozkoszy pozbawioną była przez te lat pięć! Lata pierwszego rozwoju dzieciny! Pierwsze słowa, które ono wymawia, są w rodzinie przedmiotem rozmów całotygodniowych; gdy malec się uśmiechnie, cały dom uradowany, jak gdyby słońce wiosenne ukazało w oknach swe promienie. A cóż dopiero, gdy się na głos roześmieje, to wszystkie rozkosze świata nie dadzą się z tem porównać.

I to te lata najszczęśliwsze wymazał Gathy z życia swej żony, a zarazem i ze swego życia. Atoli zapomnianem zostało to cierpienie, gdy zajechał powóz, a silne ramię ojca wyniosło dwóch ładnych i wesołych, chłopczyków.

Matka z bijącem sercem wybiegła na ich spotkanie. Jak błyskawica padło jej spojrzenie z jednej twarzyczki na drugą, badając i przypatrując im się z przestrachem.

— Mamusiu — zawołał jeden chłopczyna, rzucając jej się na szyję.

— Mamusiu — mówił drugi, czepiając i schylając jej się do kolan.

Uściskała i ucałowała obydwóch. Który pocałunek był słodszy? zadawała sobie pytanie, wpatrując się w nich.

Paweł było imię jednego chłopczyny, drugiego Władysław. Z wzrostu i postawy byli do siebie podobni, a nawet i w rysach twarzy mieli wielkie podobieństwo. — Różnicy lat nie było znać po nich.

Nachyliwszy się do ucha męża, zapytała trwożliwie:

— Który z nich jest moim synem? — Powiedz!.

Gathy roześmiał się w głos i odpowiedział:

— Co za zabawne zapytanie, obydwaj są twoimi synami...

— Lecz który z nich jest moim rodzonym synem?

— Nie troszcz się o to wcale. Dlatego chowałem dotychczas obydwóch zdala od domu, abyś ich równo kochała i dla żadnego nie była macochą, ale matką.

— Pomyśl, co czynisz! — zawołała żona.

— Długo nad tem myślałem. Miej cierpliwość aż dojdą do lat dwudziestu; wtedy, gdy opieka matki nie będzie im już potrzebną, dowiesz się prawdy, nie prędzej.

Taką była wola tego nieugiętego człowieka. Cóż innego nie pozostało biednej kobiecie, jak obydwóch równo kochać i otaczać ich równą opieką? Uczucie macierzyńskie jednakże nie spoczęło ani na chwilę; gotowa do walki, dniem i nocą obserwowała chłopców, chcąc dojrzeć podobieństwo do siebie. Niekiedy zdawało się jej, iż zrobiła odkrycie, przy którem serce jej żywiej uderzyło: to mój syn, pomyślała; szkoda tylko, że czasami jej się zdawało, że Paweł, to znów, że Władysław jest jej synem.

Chłopcom było z tem dobrze. Rośli i rozwijali się. I oni wiedzieli już o tem, że jeden z nich jest tylko pasierbem, lecz który?

Pewnego razu Gathy zachorował, żona jego chciała korzystać z tej chwilowej słabości, aby dowiedzieć się prawdy.

Zaczęła błagać męża, zarzucając go pochlebstwami.

— Powiedz najdroższy, który jest moim własnym synem, ulituj się nademną! Przysięgam ci wobec Boga wszechmocnego i na pamięć mej matki, że tylko ja sama będę znała tę tajemnicę, jemu nie dam poznać tego!

— A zatem dobrze, jeżeli tak się zaklinasz, dowiesz się prawdy.

W tej właśnie chwili wszedł do pokoju Paweł.

— To jest twój syn — wyszeptał Gathy.

Barbara powstała natychmiast, porwała chłopca w objęcia, okryła twarz jego pocałunkami, głowę przycisnęła do piersi i głaskała jego jasne włosy. Przy obiedzie na przysmaczek już Paweł dostał większe jabłuszko, dla Pawła nóż głębiej zanurzył się w kołacz, wieczorem grając w piłkę, stłukli chłopcy szybę, stało się to niby z winy Władysława, chociaż wszystkie pozory za tem przemawiały, że Paweł był sprawcą złego.

Tak upłynęło kilka dni, aż wreszcie Gathy odezwał się z niechęcią do żony:

— O! kobieto, kobieto!

— O cóż chodzi? — zapytała.

— Twoje postępowanie, Barbaro, jest śmieszne. Lecz wszystkieście wy takie! Tylko jednę strunę poruszyłem w twem sercu, a natychmiast wyszła na jaw niezgodność tonów; i pokazała się w tobie nie matka, lecz macocha. Źle przebyłaś próbę!

— Jaką próbę?

— Z dziećmi. Czy rzeczywiście uwierzyłaś, że chłopczyk, którego ci wskazałem, jest twoim rodowitym synem? Postanowiłem, że który z chłopców pierwszy wejdzie do pokoju, oddam ci go jako twego własnego syna.

— Okrutny, oszukałeś mnie — zawołała pani Gathy z najwyższym gniewem.

— Być może; atoli czy i ty nie zwiodłaś mnie, przyrzekając, że będziesz obydwóch równo kochać? A natychmiast zaczęłaś zaniedbywać Władysława forytując Pawła. Jesteś złą i fałszywą Barbaro.

Raz zwiedziona nie miała odwagi nastawać o wyjawienie prawdy, chociaż jej to bardzo na sercu leżało. Wiedziała, że byłoby to napróżno. Pocieszała się nadzieją na przyszłość, kiedy upłynie lat dwadzieścia, prawda się wyjaśni.

Tak rok za rokiem mijał, lipy starego zamku okrywały się zielenią, chłopcy wyjeżdżali do szkół i wracali na wakacye, bez zmiany przez lat wiele, aż pewnego razu, napróżno serce macierzyńskie wyglądało ich powrotu, z ławy szkólnej poszli oni na pole walki, bo ojczyzna ich była w niebezpieczeństwie i wołała o pomoc. W walce o niepodległość, zginął śmiercią waleczną jeden z synów Gathyego. Sam tylko Władysław powrócił pod dach ojcowskiego domu. W owych czasach nikt się temu nie dziwił, przeciwnie uważano to za łaskę nieba, jeżeli z dwóch braci jeden został przy życiu.

Cieszono się z powrotu bohatera a w cichości nie jednę łzę poświęcono pamięci zmarłego.. I serce matki pocieszało się nadzieją, że syn jej ocalał, ale co za okropność, gdyby się to okazało nieprawdą. Gathy milczał jeszcze ciągle. Czekał on dnia oznaczonego tj. skończenia dwudziestego roku. Pewnego razu wszedł z uroczystą miną do pokoju żony i w te odezwał się słowa:

— Barbaro! czy wiesz, że dzisiaj jest dzień ważny dla ciebie?

— Co takiego? — zapytała, nie podnosząc wzroku od roboty, haftowała bowiem koszulę dla Władysława.

— Dziś kończy się lat dwadzieścia.

Na te słowa pani Barbara zdrętwiała, serce zamarło jej w piersi, krew uderzyła do głowy, za chwilę zbladła jak ściana.

— Cóż stąd? — zapytała ponuro.

Gathy wyjął z kieszeni pakę papierów.

— Chcę dotrzymać słowa — masz prawo dowiedzieć się, który z chłopców jest twoim własnym synem.

Jak iskrą elektryczną podniesiona, skoczyła pani Barbara i położyła dłoń na ustach męża.

— Milcz — zawołała z trwogą. — Nie chcę nic wiedzieć. I nie pragnę, abym się kiedykolwiek dowiedziała.

Położyła swą białą rękę na czole i wyszeptała z cicha:

— Niech mi przynajmniej pozostanie złudzenie, że jestem matką własnego syna.

— Słusznie mówisz, Barbaro — odpowiedział po namyśle Gathy. — Lecz co począć z temi papierami?

— Wrzuć je w ogień, proszę cię o to.

A właśnie jasny płomień widniał na kominku, Gathy wrzucił weń papiery; objęte ogniem wybuchnęły jasnym blaskiem, który oświecił oblicze matki żywym blaskiem, gdy mówiła:

— Teraz sam tylko jesteś w posiadaniu tajemnicy, już jej nie zdradzi żaden papier.

Wprawdzie ja, który to zdarzenie opisuję, znam tajemnicę, lecz jeżeli matka nie była ciekawą, to i czytelnicy nie potrzebują wiedzieć prawdy.

Chodzi tylko o to, aby każda macocha brała sobie stąd przykład, a skoro wzięła na siebie obowiązek wychowania obcych dzieci, wychowywała je tak, jak gdyby była ich własną matką, bo kto bierze na siebie tak ważny obowiązek, a nie wypełnia go sumiennie, będzie za to przed Bogiem odpowiadał.

TO I OWO.

„GORZKIE ŻALE“.

Zbiór pieśni, wzorem Jutrzni Brewiarzowej ułożonych, w których rozpamiętywane są szczegóły męki i śmierci Zbawiciela, nosi nazwę Pasyi t. j. Męki. Nabożeństwo to, wyłącznie do czterdziestodniowego postu należy, a książeczki, zawierające cały zbiór, w potocznej mowie zowią „Gorzkie żale“, chociaż właściwy tytuł jest: „Rozmyślanie Męki Pana Naszego Jezusa Chrystusa“; nazwa zaś owa poszła od pierwszych wierszy pieśni naczelnej: „Gorzkie żale przybywajcie! Serca nasze przenikajcie!“

Prawdopodobnie początek „Gorzkim żalom“ dały średniowieczne misterya czyli dyalogi religijne, mające za treść główną wypadki z Ewangelii. Okazuje się to już z samego układu. Mamy tu bowiem prolog, którym jest właśnie wspomniana wyżej pieśń „Gorzkie żale przybywajcie“; następnie trzy części, jakby trzy akty czyli sprawy, każda z trzech pieśni utworzona; wreszcie epilog, który stanowi pieśń procesyonalna „Jezu Chryste Panie miły“, albo jeszcze tragiczniejsze: „Wisi na krzyżu Pan, Stwórca nieba“.

W dzisiejszej formie „Gorzkie żale“ wydrukowano po raz pierwszy w roku 1707 p. t. „Snopek Mirry“, staraniem ks. Wawrzyńca Stanisława Benika, promotora Bractwa Ś-go Rocha przy kościele Ś-go Krzyża w Warszawie. Ks. Bartłomiej Tarło, ówczesny proboszcz tego kościoła, potwierdził to nabożeństwo, a ks. Szczepan Wierzbowski, oficyał warszawski, sam je pierwszy przy tłumnym napływie wiernych odprawił. Zapisano wówczas, że gdy „dawne hymny łacińskie i niektóre polskie nie były przystępne dla ludu i przechodziły możność Bractwa, ułożono te czysto polskie, łatwe, bez kosztu do odprawienia, bo bez reprezentacyi scenicznych, bez Kapników i biczowań, które przedtem w pięciu intermedyach, na uczczenie pięciu ran Chrystusowych, praktykowano“. Nabożeństwo to, wielce rzewne, pełne majestatyczności i skruchy, z nutą, odpowiednią do treści hymnów, z konkluzyą na klęczkach „Któryś za nas cierpiał rany“, za wpływem misyonarskim rozpowszechniło się szybko po całym kraju i szczególnie przypadło do serc wiernym. W ciągu dwóch wieków, żadna książka polska nie rozeszła się w tylu egzemplarzach, jak „Gorzkie żale“.

ZŁOTE MYŚLI.

Nie mów źle o drugich, bo kto o innych źle mawiać lubi, sam pewno mało wart jest.

Przez karczmę wchodzi się do szpitala; przez kościół do nieba.